Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

EXPRESS WIECZORNY ILUSTROWANY.

ŁÓDŹ 22.VII.25 A

ROK III. | ŁÓDŹ, ŚRODA, 22 LIPCA 1925 r. | NUMER POJEDYŃCZY 20 GROSZY. | Nr. 168

Echa zamachu na prezydenta Rzplitej

Przed trybunałem staje drugi oskarżony, inż. Kornhaber.

„Gdyby mi kazano podpisać wyrok śmierci na siebie — podpisałbym".

Ze Lwowa donoszą nam:

W dalszym ciągu obrona dążyła do wyjaśnienia wzajemnego stosunku oskarżonego Mykityna do sędziego Rudki i protokulanta Piotrowskiego. Po krótkich jeszcze pytaniach dr. Dwernickiego, przewodniczący zwraca się do Mykityna.

Pańskie przesłuchanie zostało ukończone, proszę ustąpić miejsca p. Kornhaberowi.

Wchodzi inż. Kornhaber. Nie korzysta z pozwolenia zeznawania siedząc. — Jest zupełnie spokojny, w niektórych tylko momentach, gdy wspomina o swojem aresztowaniu wybucha.

Przewodniczący: Zna pan akt oskarżenia. Czy poczuwa się pan do winy?

Inż. Kornhaber: Do żadnej winy nie poczuwam się. Uczyniłem to, co winien był uczynić każdy obywatel. Dowiedziałem się, że zamachu miał dokonać kto inny, nie Steiger — więc obowiązkiem moim było sprawę tę wyjaśnić.

Przew.: Może przystąpimy lepiej do faktów.

Kornhaber zeznaje, że bezpośrednio po zamachu powiedział Mykityn jego córce, że Steiger jest niewinny, a nawet zaznaczył, że o tej sprawie „wie więcej".

„Wiedziałem i widziałem".

Na pytanie przewodniczącego, czy znał od pierwszej chwili nazwisko Mykityna, odpowiada Kornhaber, że nie. A gdy zapytał o to służącą swą, Karolinę Stein, ta mu odpowiedziała, że jej narzeczony jest bezwyznaniowy i nie ma nazwiska.

Bliżej zainteresował się Mykitynem dopiero z końcem sądu doraźnego nad Steigerem. Wróciwszy wówczas z miasta, zastał służącą swą, Steinównę, płaczącą. Gdy zapytał o powód tego płaczu, córka jego, Klima, powiedziała mu, że Steinówna boi się o swego narzeczonego — on bowiem wie, kto zamach popełnił i chce o tem donieść policji.

Kornhaber: Rozumiałem, że obawia się zemsty komunistów.

Oskarżony zeznaje dalej, że zapytał wówczas, czy ten narzeczony rzeczywiście wie, kto rzucił bombę na p. prezydenta i otrzymał odpowiedź, że ma na to świadków.

Kornhaber: Wobec tego prosiłem, by mię zawołać, gdy narzeczony Steinówny przyjdzie.

Przewodniczący: Dlaczego pana to zainteresowało?

Kornhaber: Byłem przekonany, że niewinny człowiek siedzi w więzieniu.

Przew.: Jakie pobudki kierowały panem? Czy Steiger jest pańskim krewnym?

Kornhaber: Nie. To były pobudki czysto ludzkie. Nie wiedziałem nawet, że tu chodzi o żyda.

Dalej zeznaje inż. Kornhaber, że dla upewnienia się pytał Mykityna, czy naprawdę wie, kto zamachu dokonał — na to Mykityn odpowiedział: „wiedziałem i widziałem" i że nawet kom. Kajdana o tem uprzedził, ale kom. Kajdan „na tem się nie rozumie", bo doniesienie zignorował.

Na pytanie Kornhabera: „A gdyby tego żyda byli powiesili? Dlaczego dotąd o tem nikomu nic nie mówił — zeznaje dalej Kornhaber — odpowiedział Mykityn, że się bał. A teraz, gdy komuniści go „wykiwali", to ich zdradzi.

Przewodniczący: Czy wypytywał go pan o szczegóły?

Kornhaber: Nie. Chciałem jak najrychlej donieść o tem władzy.

Dalej zeznaje Kornhaber, że zwrócił się do niejakiego Munda z prośbą o radę — i że ten mu radził zwrócić się z tem do posłów lub do p. Jaegera.

Kornhaber spotkał się następnie z fotografem Muenzem i gdy mu opowiedział to wszystko, ów poszedł do znajomego, jak się wyraził komisarza Łukomskiego.

Jednak wyszedł stamtąd jakby „speszony".

Na zapytanie Kornhabera, jak załatwił Muenz, odpowiedział, że Łukomski sobie wprawdzie zanotował wszystko, ale mówił, że już sprawcę zamachu zna. I miał się nawet wyrazić, twierdził Muenz: „Pan mię nie zmyli".

Kornhaber: Uważałem więc, że z tego nic nie będzie.

Gdy Mykitynowi zaproponował, by udał się do Jaegera — zgodził się. O nic więcej go nie wypytywał. Nie interesowało go to: „kto on i co on", uważał bowiem, że już się nim odpowiednio władze zajmą".

„Więzienie nie jest dla psów".

Na tem urywa się chwilowo udział Kornhabera w tej sprawie. Wyjechał bowiem do Jaremcza i wrócił dopiero po upływie tygodnia. Poczem następuje opis wizyty posła Rozmarina i Jaegera.

Kornhaber: Zdaje się, że podczas tej wizyty dowiedziałem się o nazwisku Mykityna. Do rozprawy się nie wtrącałem. Mykityn opisywał przebieg zamachu, a ja się przysłuchiwałem.

Kornhaber zeznaje, że uważał opowiadanie Mykityna za wiatr.

Przewodniczący: Kiedy była mowa o nagrodzie dla Mykityna?

Kornhaber: Nie przypominam sobie. Ale wyraziłem się, że gdyby te zeznania były prawdziwe, to Mykityn wart nagrody.

Przewodniczący: W jakiej formie wyobrażał pan sobie tę nagrodę?

Kornhaber: W formie pieniężnej.

Po pewnym czasie, zeznaje Kornhaber, otrzymała służąca Steinówna wezwanie z policji — udała się tam. A gdy wróciła—opowiadała, iż zeznała, że narzeczonego nie ma. A ten, którego miała o nazwisku Potoraj, — jeszcze przed zamachem wyjechał do Czech. — To mi się wydawało podejrzane.

Przewodniczący: Dlaczego?

Kornhaber: Nie mogłem zrozumieć, dlaczego kłamała. A gdy jej zwróciłem uwagę, że za to może odpowiadać przed sądem, oświadczyła mi, że sądu się nie boi, bo „więzienie nie jest dla psów, tylko dla ludzi".

Przewodniczący: Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia?

Kornhaber: Nic więcej.

„Szczyt łajdactwa".

Mykityn przez cały czas zeznania Kornhabera dusi się ze śmiechu, co wywołuje uwagi przewodniczącego.

Przewodniczący stwierdza, że niektóre zeznania Kornhabera złożone w śledztwie nie są zgodne z obecnemi zeznaniami.

Oskarżony tłumaczy się tem, że był zdenerwowany — gdyż widział, że nie chodzi tu o właściwą prawdę, ale o zrobieniu go bez bliższych przyczyn winowajcą niepopełnionych czynów.

— Gdyby mi wówczas kazano podpisać wyrok śmierci na siebie — mówi oskarżony — byłbym podpisał.

Gdy przewodniczący przedstawia oskarżonemu pewien ustęp z protokułu zeznań w śledztwie, niezgodny z tem, co oskarżony obecnie zeznał — ów twierdzi, że protokuł ten, nie czytając, podpisał. Gdyż — jak powiada— ufał w zupełności sędziemu, a teraz konstatuje fakt, że przecież ten protokuł należało przeczytać.

Dalej opowiada inż. Kornhaber — że konfrontacja z Mykitynem — to był „szczyt łajdactwa".

Przewodniczący do protokulanta: Proszę to zaprotokułować.

Kornhaber: Szczyt łajdactwa ze strony Mykityna — zarzucał mi bowiem takie rzeczy....

— Myślałem, że zwarjował. Przytem skakał i rzucał się na mnie, śmiejąc się bezustanku. — Mówił, że ja kazałem mu stać przed kawiarnią „De la Paix". — gdyż „tam coś będzie". To przecież nie do pomyślenia!

— Pozwalano, mówi oskarżony, by mnie Mykityn obrażał, a gdy go zawołałem po imieniu, kazał mi sędzia mówić „per panie Mykityn", grożąc aresztem. Gdy prosiłem sędziego o widzenie się z moją żoną, pan sędzia odpowiedział, że nie może pozwolić na takie „cyrkowe przedstawienia".

W dyrekcji telefonów.



— Panie dyrektorze, jedna z telefonistek ogłuchła... Co z nią zrobić?..

— Przenieść ją do biura zażaleń!..

W Niemczech ma być ogłoszona amnestja.

Dotyczyć ona będzie tylko więźniów politycznych.

Berlin, 21 lipca
Agencja Wschodnia

Parlament obradował dzisiaj nad projektem amnestji, która ma być ogłoszoną z okazji wyboru Hindenburga prezydentem Rzeszy.

Amnestia obowiązywać będzie od 1 października r. b. Dotyczyć ma ona tylko więźniów politycznych, którzy zostali skazani na więzienie czy twierdzę tylko na przeciąg do jednego roku i jeśli przestępstwa popełnili do 1 października r. b.

Paryż szalał dnia 14-go lipca!...

—:o:—

„Carmagnola“ na ulicach stolicy świata. — W morzu świateł. — Citroën na wieży Eiffla.

Korespondencja własna „Expressu Wieczornego“.

Paryż, w lipcu.

Święto narodowe rocznicy zdobycia przez lud paryski Bastylji przypada w tym roku na wtorek; czternastego lipca jest tedy we wtorek. A że sobota jest so botą angielską, niedziela — niedzielą, więc świętować zaczyna się 14-ty od soboty wieczór, t. j. od 11-go.

Pewien kłopot mieli paryżanie w tym roku z poniedziałkiem, który jako zwyczajny dzień powszedni przegradzał wielkoświąteczny wtorek od przedświą tecznej niedzieli. Jednak uporano się z tym niefortunnym poniedziałkiem bar dzo prosto. Zrobiono z niego most od święta do święta, od niedzieli do wtorku I dzień ten nazywa się „le jour du pont“ — dniem mostu i jest również dniem świątecznym.

Czternasty lipca zaczął się tedy w tym roku 11-go i skończy się 15-go. Kalendarz zatrzymuje się i od soboty do środy, codzień jest ta sama, tak wielomówiąca data: 14-go.

Całe te cztery dni trwa jeden wielki bal, w którym biorą udział starzy i mło dzi, biedni i bogaci, wszyscy jednako wo już nie tylko weseli, ale dziko rozba wieni i podnieceni. Małe kawiarenki któ rych tu w żadnym prawie domu nie brak, aż do tych największych, sprowa dzają odpowiednią do swej klijenteli i swego luksusu orkiestrę, której najniższym szczeblem jest jeden człowiek — jazz-band, grający na harmonji, tupiący nogą w pałeczkę małego bębna i potrząsający drugą nogą, na której nosi — branzoletkę powiedzmy z dzwonków

Zastępuje go często gramofon, gramofon zaś orkiestrjon, po nim jest dopiero kolej na zespoły muzyczne różnego składu i zestawienia.

Kawiarnie wylegają z chodników na jezdnię i niezmordowane pary tańczą na środku bruku, tańczą bez przerwy, w dzikim zapamiętaniu, w dziwnych, nawet łódzkiej Malinowej sali niegodnych podrygach. Wszystkie prawie boczne u lice są w ten sposób zamknięte dla ruchu kołowego. Ale któżby miał jechać w dni tak weselne, skoro szofer napewno tańczy, albo przynajmniej popija w swem bistro, a jego pasażer miast sunąć wygodnie na pneumatykach auta po jezdni — sunie niewygodnie, czasami na swoich, a często na cudzych obcasach po tej samej jezdni — i tańczy, tań czy, tańczy.

Na głównych placach urządza miasto zabawy i sprowadza muzykę. I tam tańczą bez przerwy. Przed każdym pomnikiem jest ilumincja miejska i tam tań czą. Ratusz tonie w tysiącach świateł i tam tańczą.

Teatry subwencjonowane przez pań stwo otwierają swe podwoje dla wszyst kich — za darmo. Tam wyjątkowo nie tańczą, ale za to ci, co się do teatru nie dostali, tańczą i za tych, co są zmuszeni do parogodzinnego siedzenia na jednem miejscu

Wieczorem, w świetle sznurów lampionów, porozwieszanych co krok na ulicach, na drzewach i u drzwi kawiarni — przelewa się roztańczony tłum, trzęsie się w taktach dziwnie tańczonego shimmy, podryguje w rytmy javy i tańczy cztery dni i cztery noce, jak tań czyli ich prapradziadowie dziką carmagnolę.

Zabawa dosięga zenitu w nocy z czternastego na piętnasty. Podczas, gdy poprzednich nocy dozwolone są tańce na ulicy tylko do godz. drugiej nad ranem, tej nocy wolno tańczyć bez przerwy aż do rana.

Każdy „quartier“ — małe miasteczko, z kilku ulic się składające, których w Paryżu jest kilkaset, gdzie zna się swoją praczkę, swego piekarza, szewca fryzjera i swoją „kremierkę“ — sklep ze serami — każdy quartier tedy, z panią jubilerową radną miejską, hotelarzową, lekarzową lub inną dostojną osobą na czele urządza „fete“ dla siebie.

I tej nocy jest kilkaset fet tego rodzaju w mieście, z pochodami, występami humorystów, konkursami, rakietami i ogniami sztucznemi.

To nie święto; to właśnie to, co w języku potocznym, znać ze znajomością obyczajów francuskich, nazywany z francuska „fetą“.

Na ulicy spotkać można często osobników pod lepszą niż „dobrą datą“. Krzyczą hałasują nie wadzą jednak prze ważnie nikomu, a wyrozumiała tego dnia szczególnie policja nie zwraca na nich uwagi. Radość jest ogólna. Zdradzają ją zwłaszcza liczni w „Quartier Latin“ chińczycy i japończycy, którzy tańczą do upadłego i zapominają się tak dalece, że pozwalają, by na ich sfinksowych obliczach zakwitł tłumiony corychlej uśmiech.

Świecą się czarne jak heban, spocone policzki murzynów, połyskują woskowe suche twarze azjatów, czerwienią się usta paryżanek, to tańczą studenci przed kościołem Sorbony.

Do huku petard, świateł lampionów, jasności ogni bengalskich, tonów instrumentów muzycznych wszelkiego pokroju, ceremonji urzędowych i defilad wojsk przybyła w tym roku atrakcja niezwykła.

Pan Citroen, fabrykant samochodów, wpadł na myśl uwiecznienia swego automobilowego nazwiska na całej wysokości wieży Eiffla. Poprzedzone świtą ognistych węży, ruchomych gwiazd i komet wyłania się litera po literze na tle ciemnego nieba nazwisko francuskiego Forda, jak mówią jedni, lub fabrykanta puszek od sardynek, jak mówią złośliwi.

S. G.



Amerykanie mają pasję do urządzania konkursów piękności... Ostatnio w New-Jorku znów urządzono konkurs naizgrabniejszei nóżki kobiecei. Pierwszą nagrodę zdobyła miss ANN PENNINHTON, której fotografię powyżej umieszczamy.

Przywiązany czytelnik

Po wyjściu z więzienia przeczyta komplet z ubiegłych dwuch lat.

Jedno z prowincjonalnych pism fran skich otrzymało następujący list:

„Szanowny Dyrektorze i Drogi Przyjacielu!

Wiadomo Panu, że sąd przysięgłych skazał mnie na dwa lata więzienia Wskutek tego mieszkać będę pod zmienionym adresem, który — proszę to przyjąć do wiadomości — brzmieć będzie: ‚Times', więzienie centralne'. Ale i tam pozostanę wiernym Waszym przyjacielem.

Na nowem mieszkaniu nie będę mógł odbierać cennego i kochanego Waszego pisma. Proszę mi więc przechować komplet, po który zgłoszę się po opuszczeniu dotychczasowej siedziby.

Proszę o Pańską przyjaźń i szacunek. Serdeczne, braterskie pozdrowienie

Piotr O.
dawny notarjusz“.



M-lle Anna Levassor, skazana przez paryski sąd przysięgłych na 2 lata więzienia za zabicie swej chorej siostry na własną jej prośbę.

Francuski parlament
przez pryzmat humoru.

Przy rozprawach nad ustawą podatkową (podatek od zarobków), deputowany Louis Lambert powiedział:

Jeżeli mąż i żona żyją w legalnym związku małżeńskim, to z ich wspólnych zarobków uwalnia się od podatku 6000 franków rocznego dochodu, jeżeli zaś oni znajdują się w nielegalnym małżeńskim związku, to każda ze stron korzystać ma prawo do niepłacenia podat ku od 6000 fr. rocznego dochodu, czyli obie strony zwolnione są od podatku do chodowego na sumę 12000 fr. rocznie. Cóż to znaczy? Ni mniej, ni więcej tylko zwalczanie legalnej instytucji małżeńskiej i popieranie idei wolnej miłości!

Izba wywody Lamberta przyjęła śmiechem i... głosowała za rządową ustawą....

***

Przeciwko finansowym projektom Caillaux razem z komunistami głosował tylko jeden narodowy republikanin Frongeur.

Poseł ten znany jest w izbie ze swych ustawicznych interpelacji z powodu różnych katastrof kolejowych.

Gdy izba dowiedziała się, że finansowy projekt Caillaux został wbrew głosom komunistów i Frongeura uchwa lony, jeden z posłów krzyknął w stronę Frongeura:

— Biedny Frongeur! Dzisiaj on sam z kolei wykoleił się. Któż z tego powodu założy interpelację?

***

Od chwili, gdy Józef Caillaux został ministrem finansów, zjawia się w izbie deputowanych codzień w innem ubraniu To bronzowy, to czarny, to szary, to jasno żółty, to niebieski. Przyczem krój pierwszorzędny. Klasa!

To drażni socjalistów.

Socjaliści wykrzykują:

— Widać, że godzina ekonomji i oszczędności jeszcze dla niego nie wybiła.

Powieściopisarz więził swą żonę.

Paryż, 20 lipca.

Policja paryska otrzymała onegdaj anonimowy list, w którym doniesiono je, że powieściopisarz Sorela węzi swą żonę. Szef policji paryskiej wydelegował natychmiast silny oddział policji, który udał się do zamku w Poutax.

Szczegóły w liście anonimowym okazały się zupełnie prawdziwe.

Wszystkie wejścia do zamku były silnie zamknięte, tak iż policja zmuszona była wyważyć drzwi.

Gdy policjanci wtargnęli do pokoju, w którym była uwięziona małżonka Sorela, oświadczyła ona, iż jest już tak uwięziona od kilku miesięcy.

Uwięzienie jej spowodowane zostało odmową zapisania swego majątku na rzecz męża.

Funkcję dozorczyni przez cały czas pełniła niejaka de la Blanche. Sorel oświadczył, że uwięził swą małżonkę, ponieważ jest ona umysłowo chora. Le karze stwierdził jednak że jest ona zupełnie zdrowa.



Aktor: (od którego gospodyni żąda referencji): Poprzednia moja gospodyni, u której mieszkałem, płakała, kiedym od niej odchodził...
Gospodyni: Chcąc właśnie tego uniknąć, proszę pana o pieniądze z góry...

(Passing Show, London).

Tragiczne samobójstwo studenta w Warszawie.

W oczach rodziców przyrządził sobie truciznę.

Warszawa, 21 lipca.

Nocy dzisiejszej, około godziny 3-ej w mieszkaniu rodziców swych przy ul. Chocimskiej nr. 25 (Mokotów) odebrał sobie życie 26-letni Seweryn Jarocki, student chemji.

Okoliczności samobójstwa były wyjątkowo tragiczne: nieszczęśliwy młodzieniec przygotował sobie roztwór cjanku potasu w oczach ojca, który sądził, że syn jego miesza herbatę...

Straszliwa trucina, wypita jednym tchem, spowodowała natychmiastowy zgon.

Ojciec desperata, spostrzegłszy, co się stało, w przystępie rozpaczy usiłował wyskoczyć oknem z 2 piętra. Zatrzymali go w porę nadbiegli sąsiedzi.

Matka samobójcy z ropaczy zaniemówiła i robi wrażenie obłąkanej...

Dotychczas nie udało się policji dowiedzieć z jakiego powodu ś. p. Seweryn Jarocki zakończył porachunek z tym światem.

Zmarły był jedynakiem.

Niezależnie od studjów uniwersyteckich, pracował zarobkowo, udzielając lekcji w jednej ze szkół powszechnych, ponadto — pracując w pewnej instytucji prywatnej.

Przy szlochającym rozdzierająco panu Jarockim, ojcu samobójcy, trzymają straż koledzy-tramwajarze, albowiem zachodzi obawa, że zdruzgotany strasznym ciosem — popełni jakiś czyn nieobliczalny.

—:o:—

Kwiatki z bruku wielkomiejskiego.

KAWALERSKA JAZDA

W dniu wczorajszym 13 komisarjat Policji Państwowej pociągnął do odpowiedzialności sądowo-karnej szofera Franciszka Kanie, prowadzącego samochód nr. 392 z Tomaszowa Mazowieckiego, który przez nieostrożność najechał na wóz będący własnością włościanina, Antoniego Kowalskiego. (p)

OPÓR WŁADZY

Został pociągnięty do odpowiedzialności karnej Stanisław Waszkiewicz zamieszkały przy ulicy Radwańskiej 53 za opór władzy.

Sprawę skierowano do sądu pokoju. (p)

KINOMAN

Wacław Swędrowski, zamieszkały przy ulicy Gubernatorskiej 17 został zatrzymany przez policję za podrabianie wolnych biletów do kina Odeonu.

Swędrowskiemu spisano protokuł i sprawę skierowano do sądu. (p)

GNIJĄCA KIEŁBASA

Państwowy zakład badania żywności zakomunikował wydziałowi zdrowotności publicznej, iż nadesłana próba kiełbasy, zabranej u Hermana Jendego (Brzezińska 124) — po szczegółowej analizie wykazała, iż kiełbasa ta znajduje się w stanie całkowitego rozkładu (gnicia) i pod żadnym pozorem nie nadaje się do spożycia, wskutek czego należy ją zniszczyć. Celem ukarania Jendego, sprawę skierowano do sądu pokoju.

TEN, KTÓREGO BIJĄ PO TWARZY.

Wczoraj, o g. 1.20 po północy, zgłosił się do pogotowia ratunkowego 46-letni kierownik biura Gustaw Petzold (Cegielniana 62), który uderzony został przez nieznanego osobnika w twarz na ulicy Narutowicza, wskutek czego uległ zgnieceniu górnej wargi. Lekarz opatrzył rannego.

NAJECHANIE.

Na ulicy Rokicińskiej nr. 11, przejechany został przez wóz 38-letni robotnik August Grunwald, wskutek czego uległ obrażeniu ciała.

POKĄSANIE.

W podwórzu domu nr. 66, przy ulicy Zachodniej, pokąsany został w nogę przez psa 30-letni Abram Unteglich. Lekarz pogotowia udzielił mu pomocy na stacji.

Letnia Melpomena żąda więcej światła!

Publiczność skarży się na egipskie ciemności w parku Staszica.

Widownia teatru letniego w parku Staszica mieści się pośrodku ogrodu.

Od wejścia więc do widowni przechodzi się przez aleje, które są zupełnie nieoświetlone.

O godzinie dziewiątej, gdy rozpoczyna się przedstawienie, w parku panuje jeszcze półmrok i przy usilnych staraniach można jeszcze dobrnąć do widowni, ale o dwunastej godzinie po przedstawieniu trudno nie potknąć się w ciemnych alejach o ławki i druty, okalające trawniki.

Jeżeli park Sienkiewicza mógł się zdobyć na oświetlenie elektryczne, czemu „Staszic" ma być gorszy, tembardziej, że letnia Melpomena obrała sobie w tym parku swą siedzibę.

Trudno bowiem wymagać od kupującego bilet do teatru letniego, ażeby zaopatrzył się przedtem w elektryczna lampkę lub świecę z zapałkami.

Dwie, trzy lampy wystarczą — wydatek niewielki, a zaspokoi się elementarne potrzeby publiczności, która chyba ma prawo żądać, by zapewniono jej bezpieczny powrót do domu, bez narażenia na szwank rąk i nóg. —rel—

—:o:—

Kto wypalił wszystkie „Madeny"?

Można dostać paczkę — ale za złoty i 10 groszy.

Od kilku dni na rynku tytuniowym coś się popsuło.

Zginęły jak kamfora „Madeny", a w sklepach, ani u ulicznych sprzedawców nie można ich otrzymać.

Jeden ze sprzedawców oświadczył mi, że „Madeny" nie kalkulują się. Zarabia się grosz na paczce. To nie jest interes.

Gdybym chciał zapłacić złoty i dziesięć groszy — można byłoby się wystarać o jedną paczkę.

Znaczy to mniej-więcej, że „Madeny" są, ale... kosztują złoty i dziesięć groszy.

Gdzie tkwi źródło anormalnych stosunków na rynku tytuniowym?

Dlaczego dotychczas wszędzie pełno było paczek papierosów „Maden" — i nagle wszystkie zapasy znikły?

Kto wypalił wszystkie papierosy „Maden"? —kar—

—:o:—

Precz z kurzem na szosach!

Należy przystąpić do smołowania bitych dróg.

Podczas posuchy, szczególniej w porze letniej, na wszystkich szosach unoszą się tumany kurzu.

Szczególnie przy wzmożonym obecnie ruchu samochodowym kurz jest nie do zniesienia.

Ażeby temu zapobiec, dyrekcja robót publicznych województwa warszawskiego, przystępuje obecnie do smołowania dróg bitych. Smołowcowanie przeciwdziała wznoszeniu się kurzu.

Wodna emulsja asfaltowa dla tych robót specjalnie została sprowadzona z Francji, oprócz tego, dla przeprowadzenia robót, sprowadzony został specjalny instruktor.

Obecnie próby przeprowadzane są na szosie pod Jabłonną. Takie same próby będą niebawem dokonywane na trakcei poznańskim pod Błoniem, Sochaczewem, na trakcie krakowskim pod Raszynem.

Czyżby nasze władze wojewódzkie nie uważały za konieczne również przystąpić do podobnego smołowania dróg bitych?

Wszak naszym szosom na kurzu tak że nie zbywa.

—:o:—

Półrocze podatkowe w statystyce ministerstwa skarbu.

Nasz warsz. kor. telefonuje:

Według sporządzonego przez ministerstwo skarbu zestawienia wpływy z danin publicznych i monopoli za czas od 1 stycznia do 30 czerwca r. b. wyniosły 662,6 miljn. zł. Podatki bezpośrednie bez majątkowego przyniosły w tem półroczu 167,8 miljn. zł., co stanowi 50 proc. preliminarza całorocznego i 109,9 proc. sum, preliminowanych w budżetach miesięcznych.

Podatki pośrednie przyniosły 53,5 miljn. zł., co stanowi 54,2 proc. preliminarza całorocznego i 116.3 proc. sum preliminowanych w budżetach miesięcznych.

Cła przyniosły 174,7 miljn. zł., tj. 64,7 proc. budżetu całorocznego, zaś 123.9 proc. sum preliminowanych w budżetach miesięcznych.

Opłaty stemplowe dały 57 miljn. zł. tj. 57 proc. budżetu całorocznego, a 101,9 proc. sum preliminowanych w budżetach miesięcznych.

Widzimy więc, że wszystkie wpływy podatkowe przyniosły więcej, niż preliminowano, wyjątek stanowi podatek majątkowy, który dał w ciągu 6-ciu miesięcy 35,1 milj. zł., tj. 57,7 proc. preliminowanych w budżetach miesięcznych. Jest to następstwem szeroko stosowanych przy płaceniu tego podatku ulg i odroczeń w uwzględnieniu ciężkiego położenia gospodarczego kraju. Wskutek małych wpływów z tego podatku, którego terminy zasadnicze przypadają w 2-ej połowie r. b. ogólny wynik wpływów z danin publicznych za półrocze ubiegłe daje 44,2 proc. budżetu całorocznego. Ponieważ na 2-gie półrocze r. b. przypadają terminy płatności podatku majątkowego i najważniejszych podatków bezpośrednich, więc brak ten zostanie z pewnością wyrównany.

Wojna, którą ciągle przegrywamy.

Zdołaliśmy wybić bobry, żubry i słonie, a z muchami nie możemy sobie dać rady. Wypowiedzmy energiczną walkę tym największym szkodnikom.

P. St. Nowiński pisze w „Przeglądzie Wieczornym":

Nie domyślacie się, albo domyślając nie doceniacie olbrzymiego niebezpieczeństwa, które nam wraz z ustalającem się latem grozi.

Grozi ono nam wszystkim razem i każdemu z osobna grozi nam bowiem wojna! W tym wypadku jedną tylko ze stron walczących są ludzie. Wojna ta jest odwieczna ale wskutek niezwykłych warunków powojennych z dość łagodnego dotychczas sposobu wojowania przerodziła się w bardzo zaciekłą.

Jest to wojna z odwiecznym wrogiem ludzkości, fauny i wszelkich ruchomości — **muchami, pchłami i pluskwami.** O ostatnich wiedzą najwięcej gospodynie i hotelarze a walkę z niemi prowadzą dość skutecznie, muchy zaś i pchły tworzą kwestję bardziej ogólną, a obecnie wielce aktualną.

Zaczniemy od much... Dzięki swej bezczelności **weszła mucha w skład gospodarstwa domowego np. w charakterze pieczeniarza.** Dzieli z nami wszystko: mieszkanie, jadło, łoże, nie dając ze siebie nic, oprócz wątpliwej wartości popisów wokalnych, rzadko zresztą potrzebnych poetom do pisania sielanek z „brzęczeniem muszek".

Mucha lub much bez względu na płeć i pochodzenie, czy od dostojnego bąka, czy od zwyczajnej muszki kuchennej pochodzi, jest bezpartyjna, do wszystkiego odnosi się z jednaką nonszalancją; czy to książę, czy baran, tenor bohaterski, czy kotlet cielęcy, lub murzyn budzą w nich jednaki interes, ściśle ekonomiczny.

Wszystkich i wszystko dzieli tylko na jadalny i niejadalny.

To byłaby charakterystyka pozytywna, jest jednak i negatywna znacznie większa w stosunku do nas.

Od chwili bowiem spotkania się pierwszego człowieka z pierwszą muchą, ta zaczęła z nim wojnę i toczy ją do dzisiaj, ku utrapieniu ludzkości. **Zdołaliśmy wybić bobry, żubry, całe narody i państwa wyginęły — a muchy trwają.**

Nie sposób ich wytępić, ani wyewakuować. Ciekawe, jak stara panna natrętne jak agent od ubezpieczeń, są wszędzie i zawsze, w polu i zupie, w pokoju i bursztynie, ciągle prowadząc przeciw nam zajadłą ofenzywę; śpisz — mucha wchodzi ci do nosa, piszesz artykuł — łazi ci drobniutko po spoconem czole, słuchasz koncertu — wpada z hałasem do ucha — aż wreszcie ciskasz wszystko i z pianą na ustach gonisz po ścianach aż do utraty przytomności.

Człowiek pogromca krokodyla i jaguara — jest wobec muchy bezsilny!...

Homerycka ta walka trwa już tysiąc lat, lecz teraz musi przyjść u nas do decydującej bitwy.

Dotychczas bowiem mucha była sama, walczyła w partyzantkę, lecz o. cnie sprzymierzyła się z wrogami; pluskwą, pchłą, **oraz cholerą, czerwonką i dyzenterją.**

Ta groźna koalicja połączyła się przeciw nam. Muchy, to flota powietrzna epidemji; jak ta bomby, rzucają one w nas pociskami bakcyllusowymi, ze skutkiem równie strasznym.

Gdzie nie zajdzie piechota — pluskwa, albo nie doskoczy lekka kawalerja — pchły, tam lotnik — mucha zaniesie zarazki, uchodząc bezkarnie czujności naszej.

Trójporozumienie muszo — pchło — pluskwiowe, przybrawszy drobnych aljantów — bakterje epidemiczne, **wypowiedziało nam wojnę na śmierć i dlatego potrzebna jest z naszej strony umiejętna i celowa defenzywa.**

Rolę muchy w przeznaczeniu chorób zakaźnych uważa medycyna za bardzo ważną i dla nas bodaj najgroźniejszą.

We wszystkich najstraszniejszych epidemjach, jak: karbunkuł, cholera, dżuma, czerwonka, egipskie zapalenie óczu, dur brzuszny i t. p. są muchy przenosicielami zarazków z ognisk w dalekim promieniu. Dokonują one tego w dwojaki sposób:

Mechaniczny na łapkach, smoczku i powierzchni ciała, oraz drogą ich wydzielin. Dziwna bowiem organizacja mucha pozwala im jeść spokojnie — cholerę, dżumę i t. p. delikatesy bez szkody na zdrowiu i cerze.

Mało na tem, ciało muchy wewnątrz i zewnątrz służy wielu złośliwym bakcylom za wylęgarnię, gdzie z małych bakcylusków wychowują się dorosłe bakcylusy.

Wszędobylska mucha kręci się wszędzie: na weselu i na cmentarzu, próbuje wszystkiego i zabrawszy na łapki np. w szpitalu znaczną porcję zarazków cholerycznych, nie umywszy się! pędzi prosto do najbliższej cukierni, włażąc w dopijaną przez kogoś kawę z pianką.

Ostrożny gość wyrzuci muchę i każe podać sobie czekoladę, ale nieuważny! — połknie muchę z pianką i — gotowa cholera!

Chodzi więc o to, by wystrzegać się teraz picia kawy z muchami i to nietylko kawy; całe podanie potraw, urządzenie cukierni, restauracji i t. p. powinno chronić nas przed muchami.

Nie będziemy wyliczali sposobów walki, podniósłszy tylko obecną jej doniosłość, jako konieczną samoobronę przed epidemjami, wybuchającemi w czasie lata zajmiemy się pokrótce drugim naszym wrogiem — pchłą.

W zoologji nosi nazwę — pulex irritans — i jest po musze najzłośliwszem stworzenie na świecie.

Jako uczestniczki „entente cordiale" z muchami i pluskwami i całej wspomnianej koalicji, są tem groźniejsze, że działają w czasie, gdy muchy śpią, t. j. w nocy. **Są one rezerwą much;** czego nie zrobią w dzień muchy, kończą w nocy pchły posiadając te same co muchy własności przenoszenia zarazy z chorych na zdrowych.

A nadto walczą z nami demoralizująco: wyczerpany całodzienną walką z muchami człowiek est zdenerwowany. kłuty, ssany przez pchły w nocy, a potem rzuca się na niego wytrwała piechota — pluskwy i ginie (człowiek) zarażony dżumą, cholerą, tyfusem, czerwonką etc.

Ponury ten obraz powinien wszystkim uzmysłowić niebezpieczeństwo, jakie ze strony tego trójporozumienia nam zagraża a więc wojna! — do ostatniej pchły!...

Dosyć już much, pluskiew i pcheł! Weźmy się za ręce — wszyscy! na pohybel tym wrogom naszych zup, kaw i kołnierzy! Oo upadłego! My, albo pchły!

MOJE MINJATURY.

Łapówka.

W czasie wojny grupa anglików starała się otrzymać zyskowne zamówienie na dostarczenie broni.

Zamówienie zależało od pewnego wice-ministra o którym mówiono, że nie daje się w żaden sposób przekupić. Anglicy łamali sobie głowy nad tem w jaki sposób pozyskać na swą stronę wice ministra.

Jeden z anglików wpadł wówczas na następujący pomysł:

Pewnego pięknego dnia, gdy słońce świeciło na niebie, anglik zjawił się o dwunastej godzinie w południe w mieszkaniu wice-ministra z wielkim parasolem w ręce.

Po skończonej rozmowie, w czasie której anglik starał się przekonać wiceministra, że najlepiej wykona polecenie w sprawie zakupu broni, uwagę wiceministra zwrócił parasol anglika, wobec czego zapytał:

— Poco nosi pan parasol ze sobą w taki piękny dzień?

Anglik spojrzał na pogodne niebo i odrzekł:

— Za pięć minut spadnie ulewny deszcz...

— Pan żartuje... — uśmiechnął się zaciekawiony tem wszystkiem wice-minister.

— Mówię poważnie... Nie wierzy pan? Może się założymy o 50 tysięcy funtów, co?...

— Dobrze! — zgodził się wice minister.

Obydwaj usiedli przy stole z zegarkiem w ręku.

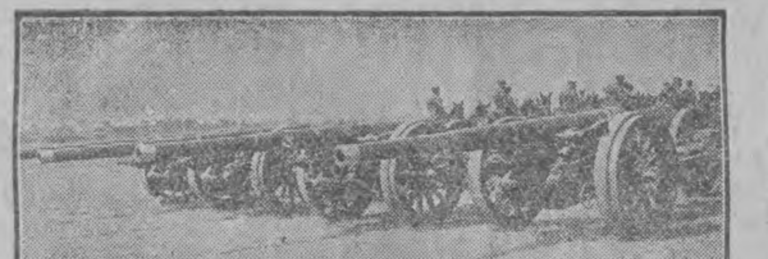
Po upływie pięciu minut anglik podniósł się z krzesła i wyjął z kieszeni książeczkę czekową.

— Niestety, przegrałem zakład... — rzekł anglik, wsuwając wice-ministrowi do ręki czek na 50 tysięcy funtów.

Nazajutrz, oczywiście, anglik otrzymał zamówienie na dostawę broni.

**

Morał: Jak nie kijem, to parasolem — trudno!... Bolski.



Anglicy opuszczają zagłębie Ruhr... Dalekonośne działa angielskie.



Na prawo: Angielski minister wojny sir Worthington Evans przyjmuje raport swych oddziałów.

Migawki sądowe.

Fajga.

Zdawałoby się, że na świecie jest tak ładnie, tak pięknie!...

Od kilku dni świeci słońce, lazurowej kopuły nieba nie zasłania ani jedna chmurka, lato jest w całej pełni, wszędzie jest tak cudnie, tak słonecznie i radośnie!...

Ale wyjdźcie za miasto, na brudne, smutne przedmieście, gdzie gości nędza i troska o chleb powszedni, zajrzyjcie poprzez brudne szyby do wnętrza suteryn, a przekonacie się, że nie wszędzie panuje radość, nie do wszystkich mieszkań dociera słońce!

Brudna, zawalona śmieciami izdebka... Troje małych dzieci., swąd, zaduch, zgnilizna...

Matka dwa razy na tydzień stoi na rynku ze sznurowadłami. Mąż umarł w czasie wojny. Biedna wdowa ma chore serce. ale jakoś trzyma się jeszcze na nogach.

Pracuje, jak może.. Czeka... Dzieci podrosną... Ma dwie córki i syna.. Drobne to jeszcze, chude, cherlawe... Byle przetrzymać jeszcze kilka lat... Dzieci podrosną... Zaczną zarabiać...

Kto wie czy dożyje?.. Czy serce nie odmówi jej tego jedynego szczęścia gdy dzieci zaczną same pracować...

— — — — — — — — —

Godzina dwunasta w nocy...

Stara Fajga śpi z najmłodszą córką na kanapie... Druga córka i syn śpią na podłodze...

Słychać miarowe oddechy śpiących.. W pokoiku duszno. Okna otworzyć nie można — ktoś mógłby wejść w nocy..

Czasem Fajga budzi się śród ciemnej nocy i czuje, że brak jej tchu w piersiach. Przysiada na kanapie i ciężko oddycha...

Byle przetrzymać jeszcze kilka lat... Nie wiele... Dwa, trzy lata...

Dzieci podrosną... Będzie jej lepiej.. Boże, Boże — pomóż przetrzymać jeszcze dwa lata!...

— — — — — —

Od tygodnia Fajga chodzi jak nieprzytomna... Ma sprawę w sądzie.

Zły sąsiad posądził ją o kradzież bielizny... Fajga nie wie jak się obrócić.. Co powiedzieć?... Czy jej wierzą, że nie ukradła?... Że to jest tylko potwarz złych, niesumiennych ludzi?... Fajga radziła się sąsiadów... Kazali jej powiedzieć całą prawdę... Fajga postanowiła tak właśnie uczynić... Muszą być przecież ludzie lepsi od sąsiadów, którzy ją zrozumieją...

Sąd uniewinnił Fajgę Rozenkranc.

Fajga zaczyna wierzyć w ludzi...

Już teraz ma nadzieję że przetrzyma dwa lata... Wierzy, że będzie lepiej...

Juris.

Władca mody kobiecej mówi...

Kobiety ubierają się tylko dla mężczyzn.—Jak powstał największy magazyn mód w Paryżu?—Manekin musi mieć w sobie coś z artysty. — P. Poiret uchyla rąbek tajemnicy przyszłej mody. — Jakie sukienki będą nosić łodzianki?

Pan Paweł Poiret, wszechwładny władca w państwie mody kobiecej, udzielił świeżo „audencji" korespondentowi jednego z dzienników londyńskich, przyczem wypowiedział kilka interesujących uwag na temat mody.

— Wiem doskonale — oświadczył p. Poiret — że kobiety obmyślając sobie toalety, myślą także o tem, aby się innym kobietom i sobie podobać, ale wiem także, że **gdyby np. mężczyźni zniknęli ze świata, to kobietom nie chciałoby się myśleć o zabiegach, mających na celu ich dobry wygląd.**

Któżby bowiem był wówczas powołany do tego, aby mówić kobiecie, że się pięknie prezentuje. Jedynie mężczyzna jest w tego rodzaju kwestjach najwyższym sędzią rozjemczym. Kobiety tak pragną wyglądać, jak sobie tego właśnie życzą mężczyźni.

W dalszym ciągu paryski władca mody, sięgnąwszy do swoich wspomnień mówił:

— Kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem, to zawsze spacerując po Paryżu, byłem **zdumiony, że kobiety tak brzydko się ubierają.** Rzadko zdarzyło mi spotkać kobietę, mającą wygląd piękny i ponętny. Sprawa ta utkwiła mi w głowie i już od owego czasu zajmowałem się kwestją barwy i kroju sukni kobiecych.

Później założyłem magazyn, w którym obmyślone przez siebie teorje wprowadzałem w czyn.

W dalszym ciągu rozmowa potoczyła się na temat ważnej kwestji manekinów

— Nie chcę powiedzieć, że sprawa ta jest zasadnicza — mówił p. Poiret — ale ważności jej nie mam zamiarów kwestjonować. Pożądanem jest zapewne, ażeby manekin miał pociągający wygląd, ale warunek ten, nie jest bynajmniej konieczny. Natomiast nie potrzeba chyba zaznaczać, że idealny manekin musi być smukły i zgrabny.

Czy panna odgrywająć rolę manekina jest blondynką, brunetką, lub rudowłosą, to ma znaczenie podrzędne.

Wśród moich manekinów reprezentowane są wszystkie barwy włosów i przy wyborze manekina kieruję się niekiedy barwą danego kostjumu. Przedewszystkiem — i to jest miarodajnem — manekin musi mieć w sobie coś z artysty.

Manekin musi odczuwać duchowo kontakt z noszonem przez siebie ubraniem. O szczegóły, jak manekin ma chodzić i pokazywać się, wcale się nie troszczę. Te szczegóły wykształcenia manekina pozostawiam koleżankom.

Rzecz oczywista, że zastrzegam sobie wybór panien najbardziej nadających się do pełnienia tej funkcji.

Powoduję się przytem jedynie intuicją, czy dana panna może mieć zmysł artystyczny. Przecież **poeta nie wybrałby do czytania swoich utworów osoby, która nie znajduje się w żadnym do oczytywanych przez nią wierszy stosunku.** I ja potrzebuję interpretatorek, umiejących uwydatnić twory mojej fantazji.

Co się tyczy przyszłej mody, to p. Poiret tak rzecze:

— Sądzę, że przodującą barwą będzie barwa czerwona, oraz że linja talji znów zbliży się do normalnej. Co się tyczy spódniczek to kończyć się one będą na 12 i pół cm. poniżej kolana, a może nawet powyżej 10 cm. Więcej tajemnic nie mogę panu zdradzić.

Tak oto rzecze p. Poiret, a ponieważ jego wola w dziedzinie mody kobiecej jest najwyższym prawem, przeto należy się z nią liczyć.



Ciekawy typ aeroplanu skonstruowany został przez hiszpana Lacierna: cztery skrzydła nakształt propelerów unoszą aparat w powietrze wprost ze ziemi.

Czy można namiętnie całować liliputkę?

Niesłychany ambaras starszego pana,

który pocałował minjaturową artystkę w czoło.

Pewien poważny i szanowny kupiec nowojorski gentleman w każdym calu, miał ostatnio przykry proces.

Został mianowicie zaskarżony przez pewną artystkę variete o... skradzenie jej pocałunku.

Cóż się jednak okazało na przewodzie sądowym?

Skarżąca „diva" mierzyła metr, pięć centymerów i popisywała się w trupie liliputów.

Pociągnięty do odpowiedzialności gentleman tłumaczył się rozpaczliwie, że wziął artystkę z powodu jej małego wzrostu za małą dziewczynkę i pocałował ją w czoło, z zupełnie ojcowskim sentymentem.

Znana jest skrupulatność sędziów amerykańskich o obrazę cnoty niewieściej.

Mimo absolutnych pozorów prawdy w zeznaniach starszego pana — i niewątpliwego posmaku szantażu w wystąpieniu malutkiej artystki — sąd zasądził ekspertyzę, która ma ustalić niezbicie, czy takie nieporozumienie było wogóle możliwe, i czy mr. Brown (nazwisko oskarżonego) kierował się istotnie ojcowskim uczuciem, całując drobną osóbkę.

Proces ten budzi w New Jorku wielką wesołość.

JULJAN STARSKI. 40



Powieść sensacyjno-kryminalna z życia łódzkiego.

SZCZURY

Przeszli przez długi, ciemny kurytarz

— Tutaj, panie redaktorze — rzekł Felek, zatrzymując się przed jakiemiś drzwiami.

Weszli do niskiego, dusznego pokoju Na ścianie wisiała mała lampka naftowa, rzucając wokół blade, posępne światło. Przy jej blasku zauważył Wiewióra leżącą na łóżku jakąś postać. Do łóżka tego podszedł Felek i, nachyliwszy się nad nim, szepnął cicho:

— Wstawaj Irma, wstawaj...

Leżąca w odzieży na łóżku kobieta, zerwała się szybko.

— To jest moja kochanka — przedstawił ją Felek bez żenady.

Wiewióra uśmiechnął się pod wąsem zaskoczony tą bezwzględną szczerością „gentlemana" bałuckiego.

— Ale się niedługo z nią ożenię — dodał przekonywująco i, zwróciwszy się do Irmy, rzekł:

— Zleć-no do Wojciechowej i przynieś butelką „sznapsa" i kilo suszonej... Tylko prędko, bo mamy dziś „fajnego" gościa. To jest pan redaktor — objaśnił z wielką dumą w głosie.

Irma narzuciła chustkę i wybiegła szybko z pokoju.

— Niech pan redaktor spocznie, — rzekł Felek, podsuwając Wiewiórze krzesło. — Dziewucha zaraz przyjdzie...

Przy wódce jakoś weselej się zrobi, bo ciemno tu i ponuro jak w grobie murzyńskim.

Wiewióra nie odmawiał. Znał zwyczaje tych ludzi i wiedział, że odmowa „picia" równa się najcięższej obrazie.

— Boże, jak ci ludzie tu mieszkają — myślał, rozglądając się po ciasnej izdebce.

Sufit znajdował się tak nisko, że zdawać się mogło, iż lada chwila runie na dół, przełamawszy wątły opór cienkich, zwilgotniałych ścian. Szerokie drewniane łóżko zajmowało niemal połowę pokoju. Jakaś szafka przy ścianie i stolik z trzema krzesłami pośrodku — oto całe umeblowanie izdebki. Mimo to było tu tak ciasno, że z trudnością można się było poruszać.

— Niezbyt tu wygodnie u mnie, prawda? — rzekł nagle Felek, widząc, że Wiewióra rozgląda się po pokoju — Ale nikt tutaj lepiej nie mieszka. Ja już mam najlepiej, bo tylko z kobietą zajmuję to mieszkanie, a inni to jeszcze z żonami bachorami i nawet sublokatorami.

Na kurytarzu rozległo się szybkie, ciche stąpanie.

— To Irma idzie — objaśnił Felek.

Weszła do pokoju, rzuciła z siebie chustkę i postawiła wódkę z kiełbasą na stole. Z małej szafki, wiszącej na ścianie wyjęła dwa kieliszki, bochen chleba i nóż. Poczem usiadła przy stole, bacznie obserwując Wiewiórę. Spojrzał na nią przelotnie. Zdążył zauważyć bardzo foremną, delikatną twarzyczkę, okoloną kruczemi włosami.

Tymczasem Felek wybił korek z butelki i nalał kieliszki.

— Za zdrowie pana redaktora...

Kieliszki stuknęły o siebie.

— Pan pozwoli zakąskę... — rzekł Felek podsuwając Wiewiórze kiełbasę.

Wypili jeszcze po kieliszku.

Wiewióra spojrzał na zegarek, stojący na stoliku.

Dochodziła już jedenasta. Postanowił przystąpić do omówienia sprawy, która go tu sprowadziła.

— Chciałbym pomówić z panem w cztery oczy — rzekł do Felka.

— Może pan mówić — odparł Rózga — Irma będzie milczała jak grobowa deska.

Wiewióra poczęstował go papierosem.

— Otóż, słuchaj pan — rzekł po chwili — muszę pana mieć do pomocy, bo muszę kogoś koniecznie odszukać. Co do wynagrodzenia, nie będziemy teraz o tem mówili, ale krzywda się panu nie stanie.

Felek spojrzał nań z błyskiem podejrzliwości w oczach. Zamyślił się na chwilę, poczem odpowiedział:

— Nie, panie redaktorze, to się zrobić nie da. Ja swoich wydawać nie będę nawet za największe skarby świata. Tak już u nas jest, panie, to trudno.

Wiewióra zaprotestował.

— Ależ, tu nie idzie wcale o żadnego „waszego"... Chcę poprostu odnaleźć niewiastę, nietutejszą, cudzoziemkę... Ot, tak dla ciekawości.

— Tak — to co innego — odparł Felek — to się da zrobić.

— Słuchaj więc pan — ciągnął dalej Wiewióra. Słyszał pan pewno o tym morderstwie w Grand Hotelu.

— Oho, — mruknął Felek —, ktoby tego nie wiedział... Całe Bałuty jeszcze dzisiaj mówią o tem. Mnie to Irma z gazety czytała, bo ona czytać dobrze umie.

— Aha... A jak się panu zdaje, kto mógł dokonać tego morderstwa?

— Wedle mojego rozumu, to tego ta italjanka nie zrobiła... To można odrazu poznać, choć są ślady, że ona była wmieszana w tę sprawę. Musiała to być robota „fachowców", bo sprytnie się ze wszystkiem tam załatwili.

— I ja tak myślę — przerwał Wiewióra — i dlatego boi się, żeby jej w tę sprawę nie wplątali i dlatego się ukrywa. A mnie zależy znów bardzo, by się z nią porozumieć.

Wiewióra, mówiąc o Giovannie, ożywił się bardzo. Na twarz wystąpiły mu płomienie.

Felek przyjrzał mu się bacznie i przymrużył chytrze jedno oko.

— Już rozumiem — zawołał — ta italjanka to kajoś panu... co? Hi, hi...

Zaśmiał się na cały głos.

— Mniejsza o to — odparł Wiewióra — grunt, że musimy ją odnaleźć... Zgoda?

— Zgoda, panie redaktorze.

— Jutro czekam na pana o 5-ej w redakcji. Pomyślę dzisiaj jeszcze nad planem naszej akcji i — przystąpimy ostro do roboty.

Wiewióra pożegnał się i wyszedł.

(d. c. n.)



Tragedja byłego dygnitarza carskiego

W najruchliwszym punkcie Warszawy usiłował popełnić samobójstwo.

Dzielny posterunkowy wytrącił mu broń z ręki na sekundę przed śmiercią.

Z Warszawy donoszą nam:

Rzeczywisty radca stanu Eugenjusz Gawryłow był nielada figurą w b. generał - gubernatorstwie warszawskiem. Zajmował stanowisko kierownika biura kontroli państwowej na cały obszar b. „Priwislinja".

Stosunki jego sięgały bardzo wysoko w rosyjskich sferach rządowych i dwor skich. Poznał też niektóre domy polskie w Warszawie, w których bywał.

1915 roku ewakuowano go wraz z zarządem generał - gubernatorstwa do Rosji.

Przez kilka lat nie dawał znaku życia.

Dopiero po rewolucji bolszewickiej wraz z innymi emigrantami przybył do Warszawy.

Był bez środków do życia.

Tułał się więc po domach swych zna jomych, którzy przez wzgląd na dawne czasy chętnie gościli byłego dygnitarza.

Lecz w pierwszych miesiącach bieżącego roku znów znalazł się na bruku. Z gościny u znajomych już dłużej nie można było korzystać. Głód zajrzał w oczy carskiego urzędnika.

W maju w głowie jego zrodziła się myśl o samobójstwie. Od tej chwili ciągle szukał sposobności.

Wczoraj około godziny 8 wieczór posterunkowy pełniący służbę na ruchliwym posterunku przy zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Trębackiej — zauważył jakiegoś starszego człowieka, który stojąc pod murem narożnej kamienicy wyjął z kieszeni rewolwer dużego kalibru systemu „Parabellum", nabił go kilkoma ładunkami — manipulował chwilę i przyłożył rewolwer do skroni.

Posterunkowy szybko rzucił się ku nieznajomemu. W chwili gdy miał paść strzał samobójczy — rewolwer wytrącony silnem uderzeniem ręki policjanta, wypadł desperatowi na ziemię.

Uparty kandydat na samobójcę — usiłował podnieść go z ziemi — lecz został obezwładniony przez posterunkowego. Odprowadzony do komisarjatu desperat przedstawił papiery na imię Eugenjusza Gawryłowa.

— Dlaczego odbieracie mi broń — dlaczego nie pozwolicie skończyć z tem głupiem życiem? — rzekł z wyrzutem do dyżurnego przodownika.

— Odebraliście rewolwer — rzucę się z mostu do Wisły.

Po spisaniu protokułu Gawryłowa zwolniono.

Wyszedł na ulicę bez grosza w kieszeni.

„Sprawca zamachu" pod Starogardem

wikła się w swoich zeznaniach.

Czyżby Kotwicki był ajentem niemieckim?

Z Warszawy donoszą nam:

Aresztowany w Warszawie Antoni Kotwicki, który zgłosił się do policji jako domniemany sprawca zamachu pod Starogardem, przedstawia się bardzo zagadkowo.

Zeznania jego w śledztwie coraz bardziej się plątają. Aczkolwiek opowiada on o rozkręceniu szyn, o wyrzutach sumienia i t. d., jednak nie umie wytłumaczyć skąd wziął narzędzia do rozkręcania szyn.

Twierdzi on, że znalazł je przypadkowo, ale nie może podać kto mu myśl zamachu podsunął.

Opowiada on, że uciekł z Rosji sowieckiej, zamierzając wyjechać do Ameryki i przybył początkowo do Małopolski, skąd udał się pieszo na Pomorze.

Tu wychodzi kłamstwo na jaw, bo znowu oświadcza, że chciał przedostać się do Prus wschodnich, gdzie był w czasie wojny światowej w niewoli. Ma on być jak twierdzi, poddanym sowieckim.

Z zeznań jego uwydatnia się, iż stara się osłaniać niemców. Ujawnia się coraz więcej, że Kotwicki zdaje się być agentem niemieckim, człowiekiem przekupionym, mającym za zadanie skierować dochodzenia w sprawie zamachu pod Starogardem na fałszywe tory.

Inspiracja niemiecka jest ponad wszelką wątpliwość widoczna.

Ciekawem jest, że Kotwicki podaje się za rolnika, chociaż jego ręce są delikatne i wypieszczone. Kotwicki przedstawia typ inteligenta i jest dostatnio ubrany, pomimo rzekomej dalekiej podróży pieszo.

Również nie umie on wytłumaczyć skąd pochodzą znalezione przy nim pieniądze.

Wśród licznych oświadczeń Kotwicki powiedział, że gdyby przypuszczał że nie poniesie kary śmierci, to nigdyby się tego czynu nie dopuścił.

Wobec tego, że zdaje sobie sprawę, iż będzie odsiadywał dłuższe więzienie, może stwierdzić, że „tajemnica, którą nosi w sobie", zostanie z czasem odkryta. O jaką tajemnicę chodzi, Kotwicki nie mówi i powiedzieć nie chce.

—:o:—

Wyrok w „małpim procesie."

Nauczyciel Scopes skazany na 100 dolarów grzywny.

Nowy Jork, 22 lipca.

Polska Agencia Telegraficzna.

„Telegraphen Company" donosi z Dayton, że w procesie przeciwko nauczycielowi Scopesowi sąd przysięgłych uznał prof. Scopesa winnym i zasądził go na 100 dolarów grzywny. Obrona wniosła odwołanie.

**

Wiedeń, 21 lipca.

„Neue Freie Presse" donosi z Nowego Yorku: Tutejsze koła sądzą, że proces, toczący się w Dayton, jest przygrywką do większych walk partyjnych których oczekiwać należy już na najbliższej sesji kongresu.

Przeciwnicy teorji ewolucji zamierzają już w grudniu zgłosić w Waszyngtonie wnioski domagające się skreślenia subwencji dla instytutu „Smithsonian", oraz podjęcia starań o rozszerzenie na całe Stany Zjednoczone ustaw, które obowiązują w stanie Tennessee.

Uważają za pewne, że przynajmniej siedm Stanów przyjmie ustawę.

Wybory do rad generalnych we Francji przyniosły zwycięstwo lewicy.

Komuniści ponieśli klęskę.

Paryż, 21 lipca.

Prasa stwierdza, że wybory do rad generalnych ujawniły nieznaczne przesunięcie na lewo; prawdziwemi zwyciężonemi są jednak, zdaniem dzienników, komuniści, którzy, mimo gwałtownej kampanji, prowadzonej w sprawie Maroka, ponieśli wszędzie całkowitą klęskę.

Wiele organów prasy zaznacza, że wyborcy wyrazili swe zaufanie raczej osobistościom, które zalecały się ze względu na sytuację lokalną, aniżeli przedstawicielom partji. Prasa lewicowa wyraża zadowolenie z powodu wyników wyborów, prawica zaś uważa, iż jest rzeczą trudną określić polityczne znaczenie wyborów.

Tajemniczy aeroplan

krąży nad granicą Polski.

Wilno, 21 lipca.

W odległości 2 kilometrów od wsi Rudziszę od strony granicy litewskiej nadleciał aeroplan, który kierował się w stronę Wilna. Dotychczas nie ustalono pochodzenia aeroplanu. Aeroplan leciał na wysokością 200 mtr. nad powierzchnią ziemi.

Romantyczny syn sułtana.

Utopił się z tęsknoty za żoną, która go okradła i uciekła.

Wiedeńska „Sonn- und Montags Zeitung" donosi z Budapesztu, że przebywający tam na wygnaniu książe turecki Abdul Kadir, utonął wczoraj w Dunaju. Książe był synem b. sułtana Abdul-Hamida. Powodem samobójstwa jest prawdopodobnie tęsknota za swoją główną żoną, która uciekła od niego w maju rb., zab'erając ze sobą kosztowności.

10 marek kary

za ułatwienie ucieczki mordercy porucznika belgijskiego.

Szczecin, 21 lipca.

3 kupców zostało oskarżonych o ułatwienie ucieczki skazanemu na śmierć Kaws'owi — mordercy porucznika belgijskiego Graffa.

Mimo, że wina oskarżonych została udowodniona, sąd skazał ich na grzywne od 10 do 600 mk.

W motywach wyroku uwzględniono pobudki... ideowe.



Warszawa, 22 lipca.

PIERWSZE NOTOWANIA WARSZ.
Londyn 25,27
New-Jork 5,17
Paryż 24,61

DRUGIE NOTOWANIA WARSZ
Dolary 5,225

NOTOWANIA BAWEŁNY.

Nowy Jork, 21 lipca.

Dowóz do portów Atlantyku i Golfu 3.000, do Anglji 3.000, na kontynent 3000 loco 24.25, październik 23.78—78, grudzień 23.93—94, styczeń 23.35—35, marzec 23.67—67, kwiecień 23.80—80, maj 23.95—95, lipiec 23.50—50, sierpień i wrzesień 23.65—65.

N. ORLEAN, 21 lipca.

Loco 23.70, styczeń 23.37, marzec 23.58, maj 23.65, lipiec 23.45, październik 23.21.

Brema, 21 lipca.

Bawełna 28.00.

Liverpool, 21 lipca.

Styczeń 12.54, luty 12.58, marzec 12.58, kwiecień 12.51, maj 12.62, czerwiec 12.58, lipiec 13.18, sierpień 12.96, wrzesień 12.76, październik 12.66, listopad 12.52, grudzień 12.53.

Licytacja garderoby carskiej.

Wielki napływ kandydatów do licytacji.

Leningrad, 22 lipca.

Polska Agencja Telegraficzna.

„United Press" donosi: napływ kandydatów do licytacji b. inwentarza domu carskiego, jest tak wielki, że musiano sporządzić specjalne listy, na które wpisują się zainteresowani w kupnie.

Na sprzedaż wystawiono przedmioty i ubrania carskie, między innemi 100 sukien carowej, zwaszcza kosztownych toalet dworskich.

Rząd włoski

buduje w pobliżu Etny stację dla aeroplanów.

Rzym, 21 lipca.

Rząd włoski zamierza w pobliżu Etny zbudować stację dla aeroplanów. Projekt ten ma znaczenie naukowe, gdyż piloci z wysokości będą obserwowali zmiany, jakie zachodzą w kraterze wulkanu. W niedalekiej odległości od krateru ma być zbudowana również stacja naukowa dla badań gieologicznych. Stacja ta stanie na wysokości 2800 m. nad poziomem morza. Na kierownika stacji naukowej upatrzony jest prof. Ponte z Katanji.

sowietów



Po meczu Polska - Węgry.

Charakterystyka i ocena krytyczna graczy obu teamów.

(Od specjalnego wysłannika „Expressu Wieczornego").

We wczorajszym „Expressie" podaliśmy opis zawodów międzynarodowych Polska — Węgry, w którym ograniczaliśmy się jedynie do samego przebiegu gry. Z kolei obecnie przechodzimy do podania ogólnych naszych wrażeń i oceny krytycznej.

Nasz sąd o sile i poziomie Węgier okazał się słusznym. Ale i nasz optymizm co do siły i kwalifikacji naszego teamu okazał się uzasadniony.

Mecz ten był ładnym, żywym i sportowym w całym tego słowa znaczeniu.

Węgrzy umieli sobie ująć nas swoją prostotą, skromnością, ale i siłą, płynącą z uświadomienia i pracy.

Udowodniliśmy, że nie jesteśmy nieznaczni, i że zasługujemy na równouprawnienie, tak pod względem gry (naogół), jak i organizacji zawodów.

Team węgierski był bardziej jednolitym, lepiej zgranym i kombinujący. — Szczególnie spółgranie ataku z pomocą i tejże z obroną oraz brak zupełnego zrozumienia wzajemnego naszej pomocy między sobą i obroną (w II połowie) było charakterystyczną cechą tego meczu.

Gdyby nasza drużyna tylko nieco więcej mózgiem pracowała, byłaby niewątpliwie uzyskała korzystniejszy wynik.

Przedewszystkiem technicznie gracze teamu węgierskiego przewyższali naszych w szczegółowym indywidualnym wyszkoleniu, uwidocznionym w pewniejszym stoppingu, w odbijaniu głową i w sposobie podawania i odbierania piłki.

Natomiast pod względem żywiołowości, bezpośredniości przewyższali nasi węgrów, wykazując lepsze i wyższe podstawy.

Nasza jedenastka grała tylko pierwsze 30 minut, rzeczywiście nadspodziewanie.

Było to jakieś wyładowanie energji, lawina, druzgocząca wszystko po drodze, ale też lecąca w przepaść.

Ataki szły szybko po sobie i energicznie, z taką siłą, że jasnem było, iż po tym wysiłku musi nastąpić zastój.

I — nastąpiła katastrofa.

To tempo, ta żywiołowość, nieobliczalna potęga mogła być tylko wykwitem drużyny pod tym względem nierutynowanej.

Mecze reprezentacyjne muszą być grane z wielką dozą odpowiedzialności z większą ekonomją sił, z większą rezerwą energji zapasowej.

A teraz do poszczególnych graczy.

Weinhardt miał wprawdzie tyle roboty", co jego vis a vis, który często musiał wkraczać i znajdował się nawet w opresji. Jednakże co robił, było wykonane dobrze.

Miał on pozatem skłonność do gry doskonałej. Jego temperament mimowoli wyrzucał go z bramki.

Goerlitz również doskonały. Wolelibyśmy go jednak widzieć mniej flegmatycznym, rezygnującym jakby własną siłą woli nad instynktem popisywania się nad brawurowymi chwytami i wyrzutami piłki.

Goerlitz jest znakomitym bramkarzem — musimy to stwierdzić. — ale musi nabyć do skończonej perfekcji bezwarunkowo estetyczniejszą technikę. — Brak mu techniki Weinhardta, któremu brak znowu ambicji Goerlitza,

Nasza para obrońców grała naogół normalnie.

Olearczyk w drugiej połowie, Kaczor w pierwszej, przewyższali się chwilami nawzajem. Jednak brak zgrania odpowiedniego ze skrajnymi pomocnikami uniemożliwiał niejednokrotnie prostszą obronę.

Łatwiejsza praca Weinhardta opierała się na doskonałej i skutecznej obronie (Fogl II i III), której zerowy wynik Węgry mają jedynie im do zawdzięczenia.

Ci swą pracą czystą w całym tego słowa znaczeniu — byli ostoją defenzywy Węgier.

Na pomoc gości nie można narzekać. Pesownik, Orth, Kleber rywalizowali wprost przed pauzą między sobą o pierwszeństwo.

Gdy tutaj skrajni głównie pracowali negatywnie w rozbijaniu i powstrzymywaniu ataków, Orth grał pozytywnie wspierając i zaopatrując atak.

Zaś braki techniczne naszej pomocy, zwłaszcza po przerwie wyszły na jaw. Gieras był znów zbyt przemęczony, aby móc swą rolę choć zmienić na czysto defenzywną. Skrajni — lepsi.

Naogół pomoc w stosunku do pokładanych w niej nadziei zawiodła.

A teraz o naszej największej bolączce — linji ataku.

Poza nawias musimy wystawić Szabakiewicza, który w całym tego słowa znaczeniu był „biednym".

Poza pierwszym kwadransem, kiedy z nim grano, nie otrzymał już później piłki.

Ciekawe, że dr. Garbień, ani Bacz nie umieli się dostroić. Widoczny brak rutyny ujaskrawił się dopiero w całej pełni, że „doskonały" gracz jest tylko wśród swoich i przeciwko swoim doskonały, ale wśród wybranych — zerem.

Ani jednej dobrej piłki dr. Garbień nie podawał, a lekkomyślny „wózek" i chęć „sztuczkowania" na zawodach międzypaństwowych, wyglądały dziecinnie i śmiesznie.

Bacz chwilami doskonały, lepszy w każdym razie od swego partnera z lewej strony.

Najlepszą parą byli Kuchar i Słoneck.. Ten najruchliwszy i najlepszy w ataku. Uparcie wybijał on piłkę przeciwnikowi, stwarzał wreszcie sytuacje operacyjne, a sam strzelał najczęściej... z pechem.

Kuchar bardzo pracowity, wprost niezmordowany ani na chwilę nie ustawał. Ale cóż! Wobec takiego niekorzystnego spółgrania z łącznikami, sam nic nie mógł zdziałać.

Cały atak wobec tych mankamentów nie funkcjonował należycie.

O linji węgierskiej możemy wydać b. dodatnią ocenę.

Remay III był w ataku najspokojniejszym i zrównoważonym. Robił to, co do niego należało. Jako nowicjusz, nie miał nic do stracenia, a do zyskania wszystko.

Takacs i Winkler, jako łącznicy, byli najproduktywniejszymi graczami w ataku.

Holzbauer grał przeważnie z dobrym Jennym, którego precezyjne centry w pierwszej zwłaszcza połowie, były b. niebezpieczne.

Jako środkowy napastnik — zdołaliśmy zauważyć, — że grał on b. często z Orthem, który, jak już zaznaczyliśmy był szóstym graczem w ataku.

W końcu zaznaczyć musimy, że nie nasza reprezentacja winna temu była, że wartość jej przeceniano od pewnego czasu, że ją przereklamowano.

Na barki jej spadła odpowiedzialność ciężka — przymusowe zwycięstwo. — Lwów postawił ją jako kategoryczny imperatyw i pewny „zadatek" sukcesu!

Słowem techniką i rozumną, planową grą, jak i odpowiednią rozdziałką sił i pracy zwyciężyli węgrzy — żywiołowość, a nawet i ambicja — to nie wszystko — to jeszcze za mało.

B. Gr-an.

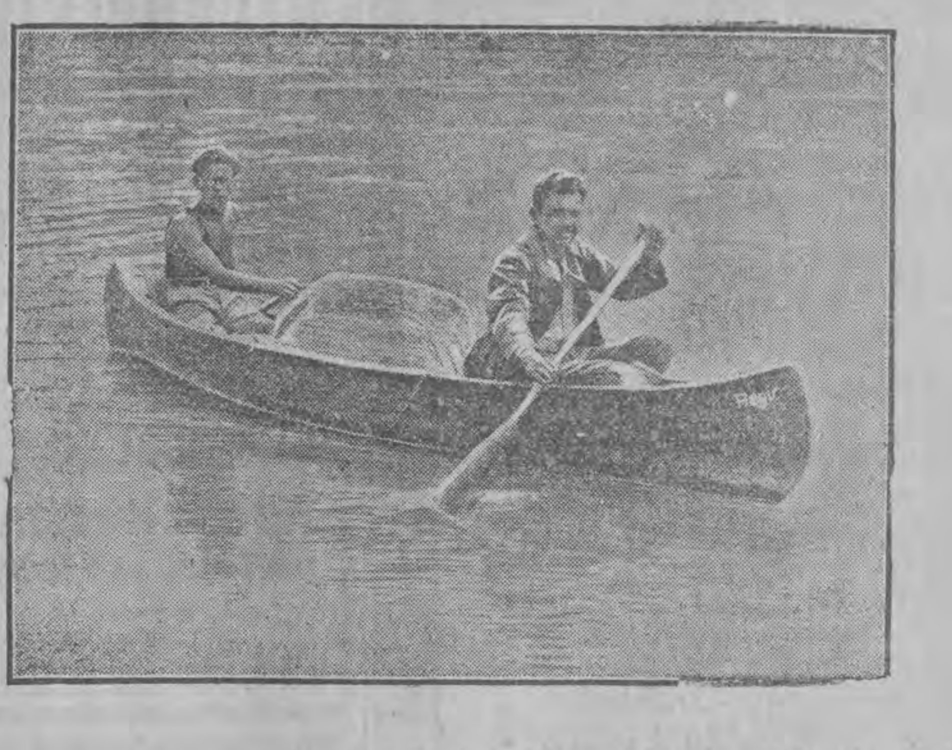
Nowy rekord Polski.

Podczas przerwy na onegdajszym meczu Górny Śląsk—Warszawa, odbyła się próba pobicia rekordu na przestrzeni 3.000 mtr. przez Łukaszewicza (Polonja). Łukaszewicz osiągnął doskonały wynik 9 min. 12,7 sek., bijąc tem samem dotychczasowy rekord Polski. ustanowiony przez Latawca (Pogoń) w 1912 roku.

Paragwaj też przyjeżdża...

Po Urugwaju, Argentynie i Brazylji przybywa do Europy drużyna Paragwaju, która podobno jest nawet lepsza od Urugwaju.

Paragwaj grać będzie w Hiszpanji, Portugalji, Francji i Belgji. Na przyszły rok wybiera się do Europy także jeszcze i Chili.



Dwaj wiedeńczycy p.p. Antoni Stein i Edward Mack udają się małą łódką w podróż na wschód. Obciążenie bagażowe łódeczki wynosi 100 kg.



Wyścigi motocyklowe w Wiedniu odbyły się przy licznym udziale publiczności.

Prenumerata: W Łodzi zł. 3.50 miesięcznie—Zamiejscowa 5 złotych miesięcznie. — Zagranicą 7 złotych miesięcznie. — Odnoszenie do domu 30 groszy

Ogłoszenia: ZWYCZAJNE [illegible] trowy na str. 4 szpalty. NEKROLOGI NADESŁANE: 30 gr. za wiersz milimetrowy [illegible] Zaręczynowe [illegible] po tekście 10 zł Zamiejscowe o 50 proc. Zagran. 100 proc. [illegible] Druk ogłoszeń administr. nie odpowiada [illegible] 10 gr. Poszukiwanie pracy [illegible]

Redakcja i Administracja Piotrkowska № 49. Telefony redakcji: 27-24, 36-43, 36-44 Telefon administracji 22-14.

Godziny przyjęć redakcji 6—7 po poł. Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Ogłoszenia kolorowe (minimalna wielkość ćwierć strony) 100 procent drożej

Za wydawnictwo „Republika" Sp. z ogr. odp. W. Polsk. Czcionkami „Republiki", Łódź, Piotrkowska 49. Tłocznia Piotrkowska 15 Redaktor odp. Józef Burman